

Przedniebie

„To najlepsze miejsce w Wielkopolsce” – powiedział kierowca, ostrożnie przebijając się przez ulice wciąż wypełniane padającym od niedawna śniegiem. Był jeden z ostatnich listopadowych wieczorów 2010 roku. Przytulna biel ogrzana światłami ulicznych lamp i samochodowych reflektorów, słowa kierowcy – wszystko tak boleśnie pozorne. Jechaliśmy karetką pogotowia, celem krótkiej podróży z Lubonia do Poznania był klinkierowy budynek ze szklanym dachem, wpuszczającym niebo do wnętrza, od którego odwraca oczy i myśli zdrowa większość tzw. populacji. Adres – Hospicjum „Palium”, osiedle Rusa 25a, panicznie zwane umieralnią. Na zleceniu przewoźnika tkwiącym w lewej górnej kieszeni mojej kurtki figurowałem jako opiekun leżącej obok na noszach Danki. Kiedy podczas wypisywania zlecenia poprosiłem lekarzkę domową o umieszczenie mnie w dokumencie jako osoby towarzyszącej, sprostowała: „Napiszę – z opiekunem, z osobą towarzyszącą można iść na bal”. Zgodziłem się z nią natychmiast, odczułem lekki wstyd z powodu niezręcznego sformułowania. Teraz wiem, że intuicyjnie miałem wtedy rację. W drodze do Hospicjum na Rusa – i w nim przede wszystkim – powinno się być właśnie osobą towarzyszącą choremu, w radykalnym – mocniejszym niż zawiera je pojęcie opiekun – sensie tych słów. To miejsce po to zostało stworzone.

Demonowi na przekór

Karetka cofając się wygodnym podjazdem dociera do pomieszczenia z windą. Danka na noszach, sanitariusze i ja po paru chwilach jesteśmy na korytarzu Oddziału Stacjonarnego. Powitani i prowadzeni przez pielęgniarkę trafiamy do dwuosobowego pokoju przedzielonego kotarą. Sanitariusze przenoszą Dankę na łóżko, jak później będziemy się mogli wielokrotnie przekonać, całkowicie różne od tych znanych nam ze szpitali, pozbawionych elektronicznego sterowania, regulowanych ręcznie i tylko w zakresie położenia podgłówek. Błyskawicznie zjawia się lekarz, bez kitła, przedstawia się i przeprowadza z Danką szczegółowy wywiad-rozмовę. Podobnie pielęgniarka, która opowiada jej

o miejscu, w którym się znalazła, w sposób pogodny, włączający, troskliwy.

W przerwie układam rzeczy Danki w szafce wyposażonej w drzwiczki po obu stronach, szuflady obustronnie wysuwane i przymocowane z boku, regulowane pod względem wysokości i długości stolikowy blat, który można choremu wygodnie podsuwać na czas jedzenia. Konstrukcja prosta, tym niemniej nie widziałem jej w żadnym ze znanych mi szpitali. Robiąc te wszystkie obserwacje i teraz rozpisując się o nich nie mam poczucia, że małowartościwie uciekam od tematu, zasadniczej, paraliżującej Sprawy, w której stałem się osobą towarzyszącą Dance – w jej bólu i umieraniu. Bo właśnie każda niedogodność sprzętu czy organizacji opieki jest dla chorego i umierającego dodatkowym upokorzeniem, kolejnym zwycięstwem demona wykorzystującego niedoskonałość tego, co namacalne, dla zadawania cierpienia i tak dostatecznie już triumfującego w czasie choroby, będącej przecież skrajną, ostateczną manifestacją zniszczalności materii i naszego wydania na jej łaskę i niełaskę, stanem największego poddaństwa.

Oboje znaleźliśmy to aż nadto szczegółowo. Danką miała za sobą już kilka stacji swojej drogi krzyżowej. Przed tygodniem została wypisana ze szpitala po miesięcznym leżeniu tam wyłącznie na plecach, z niezagojoną raną pooperacyjną, stanem zapalnym wokół otworu do świeżo założonej stomii, która dla psychiki równa się stresowi po amputacji. Ponieważ lekarz prowadzący orzekł, że nie może jej „trzymać” w szpitalu w nieskończoność, znalazła się w swoim mieszkaniu na czwartym piętrze bez windy, pod opieką osiemdziesięcioletniej matki i pielęgniarki środowiskowej, która na wstępie oświadczyła, że nie zaryzykuje wymiany worka stomijnego, bo nigdy tego nie robiła. Pięć dni spędzone w domu było torturą psychiczną i cielesną dla chorej, jej matki i wszystkich, którzy starali się pomóc, z dnia na dzień coraz boleśniej zdając sobie sprawę, że przerasta to ich siły, a przede wszystkim kompetencje. Danką znalazła się poza systemem opieki, zdana tylko na przyjaciół. Ci zaś powodowani jakimś chyba pozaziemskim impulsem, pomimo jasnej świadomości, że szybka pomoc jest niemożliwa, o taką pomoc

się zwrócili. Dramatycznie, wierząc wbrew nadziei. I otrzymali ją tego samego dnia.

Zabierając Dankę z mieszkania, do którego nie miała już wrócić, układając jej rzeczy w szafce Hospicjum, czułem mimo wszystko ulgę, płynącą z pewności, że nasza bezradność wobec jej cierpienia maleje. Bo przestaliśmy być już tak zupełnie sami.

Pierwsze dni w Hospicjum były dla Danki jeszcze okresem względnego wytchnienia, gdy trzymany w ryzach ból pozwalał, byśmy – pielęgniarki, wolontariusze i ja – byli jedynie przedłużeniem, wsparciem i zastępstwem jej rąk i nóg. Prosiła, nieraz rozkazywała, świadomość i pamięć zdrowego człowieka umożliwiła jej precyzyjną kontrolę nad otoczeniem i wszystkimi sprawami. Leżała nadal w dwuosobowym pokoju, nie miała siły czytać, nieczęsto oglądała telewizję, ale przyjemność sprawiały jej głosy zza kotary, gdzie wokół umierającej długo, choć spokojnie starszej pani czuwała, wymieniając się całodobowymi dyżurami, trzypokoleniowa rodzina. W tamtym okresie noce jeszcze spędzałem poza Hospicjum. Wszystko zmienił telefon wzywający jej mamę i mnie do jak najszybszego przyjazdu, stan Danki nagle się pogorszył. Wtedy poznaliśmy Profesora.

Profesor

Profesor Jacek Łuczak ukończył poznańskie I Liceum Ogólnokształcące (1953) i Akademię Medyczną (1958), obie placówki imienia Karola Marcinkowskiego. I można w tym patronacie widzieć pewien symbol, znak rozpoznawczy życia i działalności Profesora, tak jak Marcinkowski lekarza jednostek i społeczeństwa. Spisując dokonania Profesora Łuczaka trzeba by co chwilę wtrącać słowo „pierwszy”. Profesor bowiem jest pionierem. To on swego czasu głośno powiedział, przeciwstawiając się lekarskiemu zabobonowi, że rak nie musi boleć. Jak też, że w Polsce ludzie w złych warunkach się rodzą i w złych warunkach umierają. I że trzeba to zmienić.

I pokazał, że da się to zrobić. Jako jedyny lekarz wolontariusz, działając w ramach Poradni Walki z Bólem, jeździł na wizyty domowe do chorych na raka objętych opieką paliatywną i świadczył pomoc anestezyjologiczną. Jednocześnie stał za wszystkimi



inicjatywami, które doprowadziły do powstania Hospicjum i Kliniki Opieki Paliatywnej, którymi kieruje. W każdym zdaniu opisującym historię rodzenia się i trwania tych instytucji jej autor powinien umieszczać jego nazwisko jako pomysłodawcy i organizatora.

Profesor Łuczak jest także autorem oryginalnych polskich i międzynarodowych programów nauczania dla lekarzy, pielęgniarek i studentów medycyny w zakresie medycyny paliatywnej. Szefem lub członkiem organizacji międzynarodowych rozpowszechniających wiedzę na temat tej medycyny i wspierających jej rozwój. Jego doświadczenie zmaterializowane w funkcjonowaniu poznańskiego Hospicjum stało się wzorcem dla pięciuset ośrodków opieki paliatywnej w Polsce. Promieniuje także na Europę Środkowo-Wschodnią.

To ogromne, mogące obdzielić parę imponujących biografii dzieło, w oczach powierzchownych obserwatorów mające być może postać umieralni na Rusa, opiera się na szlachetnym, zupełnie przeciwnym współczesnemu, nakierowanemu na efektywność, rozumieniu medycyny. Dla Profesora Łuczaka medycyna nie kończy się z chwilą wyczerpania możliwości wyleczenia. Medycyna i leczenie trwa tak długo, jak długo trwa przy doczesnym życiu człowieka, który nie składa się tylko z nieodwołalnie umierającego ciała. Jest o wiele większą całością. I ta całość aż do jej ziemskiego końca wymaga leczenia.

Boże Narzędzie

Kiedy spotkałem po raz pierwszy Profesora, rozmawiał z mamą Danki na korytarzyku przed drzwiami pokoju, w którym leżała. Zatrzymałem się nieproszony, niosąc kubek z herbatą. Profesor mówił cichym głosem, pochylony, patrząc w oczy. Rzeczy, które niby się wie, których słuchać się nie chce. Słuchałem, nie było mi zimno ani gorąco. Było ciepło. Tak jak jest zawsze w tych nielicznych momentach, gdy zdarzy się spotkać człowieka z Innego Wymiaru. Na nasze nieporadne próby szukania nadziei, Profesor odpowiedział: „Jesteśmy tylko narzędziami w ręku Boga. Co my wiemy?”. Uściskał nas i odszedł. Przedtem z łagodnym naciskiem zaproponował, by być z Danką także w nocy. Byłem na to od dłuższego czasu przygotowany.

Od tego dnia zamieszkałem w Hospicjum. Nieograniczona możliwość odwiedzin o każdej porze, prawo do polowego łóżka, które wolno ustawić w pokoju chorego to rewolucja w polskim systemie szpitalniczym. W czym znowu przejawia się myśl i system przekonań Profesora, idący pod prąd powszechnym praktykom

i mniemaniom. Te zaś głoszą: po pierwsze – dobro pacjenta jest tożsame z dobrem personelu medycznego mierzonym efektywnym (w mechanicznym wymiarze) wykonaniem obowiązków, po drugie – odwiedzający przeszkadzają w funkcjonowaniu szpitala. W Hospicjum jest odwrotnie: dobro pacjenta jest ważniejsze niż dobro personelu; odwiedzający, podobnie jak wolontariusze, pomagają w funkcjonowaniu Hospicjum.

Mieszkając tam dwa tygodnie miałem dość czasu, by się o tym przekonać. Będąc łącznikiem między Danką a paniami z pokoju pielęgniarek, nigdy nie spotkałem się nie tylko z odmową, ale nawet nieuzasadnioną zwłoką w spełnieniu mojej prośby. Żywo tkwi mi w pamięci pan Romek, pielęgniarz, który przyniósł dla mnie łóżko. Na oddziale ciągle w ruchu, żartobliwie zagadujący do chorych i pielęgniarek, dający mi dobre rady. Kiedy zauważyłem: „Pan to ciągle w biegu” – „A jak inaczej, miałbym czegoś nie zrobić umierającym?” – odparł.

Podobnie lekarze, sami inicjujący rozmowy z bliskimi chorych, omawiający nie tylko medyczną, ale i psychiczną sytuację swoich podopiecznych. To wszystko ich zasługa, efekt wrażliwości i wysiłku (którego najczęstszym rezultatem, choć widzianym z najkrótszej z możliwych perspektyw, jest wypisanie kolejnego aktu zgonu). Ale za wszystkim odczuwa się obecność Profesora. Kiedy pojawia się – nie na długo – na oddziale: wysoki, szczupły, zwykle w dżinsach, błękitnej koszuli i niebieskiej kamizelce, robi się bezpiecznie.

Pewnego wczesnego wieczoru następującego po bardzo ciężkiej nocy, kiedy cierpienie Danki stało się nie do wytrzymania, budząc w niej bunt, zobaczyłem Profesora przechodzącego korytarzem. Porozmawiał z leżącym tam chorym i przemknął w głąb, gdzie w niewielkiej odległości od dyżurki pielęgniarek, przeniesiona już do jednoosobowego pokoju, leżała Danka. Wyraźnie wpadł do Hospicjum tylko na

chwilę. Po paru minutach wrócił. „Byłem u pańskiej dziewczyny. Coś jej zostawiłem.” Dotknął mojego ramienia i zniknął. Kiedy wróciłem do pokoju, na piersiach Danki leżał maleńki niebiesko-biały koszyczek w kształcie serduszka, upleciony z kredowanego kartonika. I znów na chwilę zrobiło się bezpieczniej i cieplej, jakby demony na czas jakiś, widząc że Odchodząca może jeszcze otrzymywać upominki i być czyjąś dziewczyną, ustąpiły życiu.

To moje krótkie wieczorne spotkanie z Profesorem Łuczakiem odbyło się na prze-



znaczonym dla gości i chodzących chorych tarasiku na piętrze, wyposażonym w stół, kanapę, stanowisko do robienia kawy i herbaty, telewizor, ale przede wszystkim w widok na zieloną oazę. Oaza składa się z dużych doniczkowych kwiatów i pełnej czerwonych rybek sadzawki, stanowiąc środek hospicyjnego westybulu, przypominającego raczej hotel niż szpital.



>> Do pewnego czasu lubiłem spoglądać przez balustradę w dół, dając odpoczynek wzrokowi i ciesząc się na myśl, że któregoś dnia w trakcie rehabilitacyjnego spaceru oazę zobaczy również Danką, jak też pojawiające się coraz liczniej bożonarodzeniowe ozdoby. Hospicjum nie jest przecież

Danka zmarła nazajutrz po tym, jak ubrano na naszym oddziale choinkę. Trzy dni przed Wigilią.

Nie bójcie się się motyli

Na plakacie zachęcającym do wsparcia projektu rozbudowy Hospicjum możemy przeczytać informację, że codziennie na miejsce na jego oddziale stacjonarnym czeka w całej Wielkopolsce dwudziestu cierpiących ludzi. To, że pionierska, szacowna i wzorcowa instytucja przynosząca zaszczyt Poznaniowi nie osiągnęła rozmia-

arów choćby jednej setnej stadionu sportowego i mieści tyko 24 łóżka, przypisać

można nie tylko znanej szeroko

niewrażliwości władz miasta na sprawy społeczne.

W tym wypadku antymotywaacja sięga

o wiele głębiej. To niechęć do myślenia o śmierci,

którą pojmuje się jako złą inwestycję. Profesor Jacek Łuczak

opowiada, że tylko jeden głos przeważał w Komisji Zdrowia

za refundacją z NFZ usług hospicyjnych.

To zatrwajające i zdumiewające.

Tymczasem znakiem kampanii Poznańskiego Oddziału Opieki Paliatywnej,

zachęcającej do wsparcia rozbudowy Hospicjum, są motyle.

Ich prastara, chrześcijańska, jeśli nie jeszcze pła-

tońska symbolika, obrazująca przemianę duchową człowieka,

według autorów akcji skierowana jest do potencjalnych me-

cenasów, którzy mają uwrażliwić swoje serca na los chorych i

podarować im miejsca w Hospicjum. Ale symbol ten w swoim rdzeniu przede wszystkim

ukazuje istotę tego, co dokonuje się we wciąż za małym budynku na Rusa 25a. Przejście, najważniejszy

momentu w naszym życiu, gdy z kokonów – często niemiłosiernie skatowanych ciał,

uwalniamy się jako motyle, byty duchowe. Dlatego nie ma ważniejszej, bardziej

ludzkiej inwestycji niż inwestycja w godną śmierć.

Stąd też, podobnie jak o przemysłowej konstrukcji szpitalnych mebli, ograniczających pole manewru demonów, posługujących się materią jako narzędziem tortur, bez cienia obaw o małostkowość w obliczu Majestatu muszę wspomnieć o istnieniu konta bankowego Poznańskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Opieki Paliatywnej*, jak też możliwości przekazania 1% podatku dochodowego dla tego Towarzystwa**.

Kochany Człowiek

„To jest kochany człowiek. Ja to czuję.” – powiedział o Dance Profesor podczas swojej ostatniej wizyty u niej. Intuicja go nie zawiodła. Słowa „kochany” użył w znaczeniu – „dobry”. Gdyby rozumieć jego wypowiedź w podstawowym sensie, już trudniej byłoby na nią przystać. Danką nie była kochana tak, jak powinna. Zaangażowana w innych, oczekiwała wzajemności, która najczęściej, nie wiedzieć czemu, nie nadchodziła. Ta nieobecność ją gniewała, nieraz długo, potem gniew przechodził w aktywną rezygnację – pomocne uczestnictwo w sprawach kolejnych osób. W jej życiu cuda się nie zdarzały, choć wierzyła w takie cuda, które w życiu człowieka powinny być powszedniością. Nie były jej dane. Może więc te ostatnie tygodnie w Hospicjum, miejscu odwróconych ziemskich relacji, gdzie trafiła jakby cudem, było początkiem, prawdą – bardzo bolesnym, zwrotu porozrzucanych kiedyś przez nią po świecie kawałków miłości. Odnieśli je w dużej liczbie ludzie, których wcześniej nie znała. Ludzie Hospicjum. A o ciąg dalszy, jak pozostało mi wierzyć, zadba Ktoś Inny.

Profesor Jacek Łuczak mówi, że kocha swoich pacjentów i ich bliskich. Okazuje to na wiele sposobów. Kiedy całuje umierających w rękę, przypomina o nieskończonej godności każdego właśnie w chwili największego poniżenia słabością. Kiedy to wspominam i wyobrażam sobie los Danki, jej mamy i mój bez tych jej trzech tygodni p r z e z y t y c h na Rusa 25a, mam ochotę pójść i Profesora w rękę pocałować. W starym, zapomnianym geście, który się kierowało do kapłana, rodzica, dobroczyńcy. W Profesorze jest każdy z nich. ■

*Numer konta bankowego Poznańskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Opieki Paliatywnej.

PKO BP S.A. I Oddział w Poznaniu: 79 1020 4027 0000 1702 0031 0326

**Towarzystwo Opieki Paliatywnej Oddział w Poznaniu, nr w KRS – 00000 31654

umieralnią, codzienna obecność oddanej swej pracy i pełnej uroku pani rehabilitantki oraz częste wizyty studentek i studentów fizykoterapii potwierdzały, że (co jest ewenementem na polską, a może i światową skalę) leczenie trwa zawsze, a „Hospicjum to też życie”, co głosi – mówiące przecież co do joty prawdę – hasło. Zresztą powroty z Hospicjum wzmocnionych pensjonariuszy także się zdarzają.